

O. Janusz Pyda OP: Przyjaźń Tolkiena i Lewisa nie była łatwa

Zarówno duchowo jak i charakterologicznie Tolkien i Lewis należeli do zupełnie różnych światów. Desmond Albrow, jeden z ich studentów, określił pierwszego jako „profesora, który wyglądał jak profesor”, a drugiego jako „intelektualnego rzeźnika”. Myślę, że to dosyć przesadne, ale oddające coś określenie – mówił o. Janusz Pyda OP w rozmowie z Adrianem Walczukiem i Bartłomiejem Kabatem dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tolkien. Władca wyobraźni”.

Adrian Walczuk, Bartłomiej Kabat (Teologia Polityczna): W dzieciństwie C.S. Lewis porzucił chrześcijaństwo na rzecz ateizmu. Do wiary powrócił dopiero po wielu latach, pod wpływem lektur oraz przyjaciół. Jaką rolę w jego nawróceniu odegrał J.R.R. Tolkien? Czy można powiedzieć, że bez chrześcijanina-Tolkiena nie byłoby chrześcijanina-Lewisa?

O. Janusz Pyda OP (dominikanin, filozof, teolog): Naprawdę nie wiem i nie chcę snuć wizji rzeczywistości alternatywnej. Być może, gdyby nie było J.R.R. Tolkiena, Pan Bóg posłałby kogoś innego, aby był akuszerem wiary i asystował Bożej Opatrzności przy „powtórny narodzeniu” C.S. Lewisa, a być może nie. To, co możemy powiedzieć na pewno o nawróceniu C.S. Lewisa jest na tyle fascynujące, że wolałbym się na tym właśnie skupić.

W takim razie, co wiemy o nim na pewno?

Po pierwsze, grunt pod nawrócenie Lewisa przygotowały przede wszystkim książki, które czytał i ich autorzy. Miał tego pełną świadomość. W swojej autobiografii napisał prawdziwie, choć ironicznie: „Młody człowiek, który chce być wytrwałym ateistą, musi starannie dobierać lektury”. On sam chciał być wytrwałym ateistą, ale na szczęście „niestarannie” wybierał lektury. Pozwolił, aby wpadły mu do rąk książki takich autorów jak Georg MacDonald i jego *Phantastes* czy G.K. Chesterton i jego *Wiekuiasty człowiek*. To ci autorzy i te książki przygotowały przede wszystkim grunt pod nawrócenie Lewisa.

Po drugie, pewną rolę w procesie tego nawrócenia odegrały drobne i zupełnie przypadkowe wydarzenia, które jednak jak spadające krople drążyły skałę Lewisowej niewiary. Jedno z nich, które miało miejsce niedługo po lekturze *Wiekuiastego człowieka*, tak opisywał w swojej autobiografii:

Na początku 1926 roku najbardziej zatwardziały ateista, jakiego znałem, siedząc naprzeciwko mnie przy kominku w moim pokoju, zauważył, że dowody na historyczność Ewangelii są rzeczywiście zadziwiająco mocne. „Dziwna rzecz – ciągną – te historie Frazera o Umierającym Bogu. Dziwna rzecz. Można by niemal uwierzyć, że zdarzyły się naprawdę”. Aby zrozumieć, jak druzgocący wpływ miała na mnie ta uwaga musielibyście znać mojego rozmówcę (który zresztą nigdy potem nie okazywał najmniejszego zainteresowania chrześcijaństwem. Był to „cynik nad cynikami, twardziel nad twardzielami”).

Dodam, że wspomnianym przez Lewisa rozmówcą zdecydowanie nie był Tolkien. Słynna rozmowa pomiędzy J.R.R. Tolkienem, H. Dysonem (wykładowcą uniwersytetu w Reeding) a C.S. Lewisem, która przeważała szalę na rzecz wiary w życiu tego ostatniego, miała miejsce dopiero pięć lat później, 19 września 1931 roku. Nie przypominała nakłaniania do nawrócenia. Lewis, Dyson i Tolkien rozmawiali o tym, czy w mitach zawarta jest prawda i czy w ogóle kategoria prawdziwości odnosi się do mitów. Tolkien i Dyson utrzymywali, że tak, Lewis, że nie. W pewnym momencie Tolkien i Dyson przekonali Lewisa nie tylko do tego, że w mitach zawarta jest prawda, ale również, że śmierć i zmartwychwstanie Chrystusa to nic innego jak faktyczna realizacja tego, co zapowiadały mity o umierającym bogu – Balderze czy Adonisie. Mitologia spełniła dla C.S. Lewisa taką rolę (co nie znaczy oczywiście, że obiektywnie ma taką rolę jak Objawienie zawarte w Starym Testamencie!), jak Pisma czyli Stary Testament dla uczniów, którym w drodze do Emaus Pan Jezus tłumaczył, że wydarzenia, które miały miejsce w ostatnich dniach w Jerozolimie są właśnie wypełnieniem zapowiedzi, które można było znaleźć w Pismach. Tak jak dla uczniów idących do Emaus zbiorem figur zapowiadających Chrystusa był Stary Testament, tak dla Lewisa – mitologia (co nie znaczy – podkreślam jeszcze raz – że obiektywnie zachodzi taka analogia):

Historia Chrystusa jest po prostu prawdziwym mitem: mitem oddziałującym na nas tak samo jak inne mity, z tą jednak istotną różnicą, że on wydarzył się naprawdę. Należy go zatem przyjąć tak samo jak inne, pamiętając jednakowoż, iż jest to mit Boży, inne zaś są mitami ludzkimi. Znaczy to, że pogańskie mity stanowią objawienie Boga przez umysły poetów, używające

dostępnych im obrazów; chrześcijaństwo natomiast jest objawieniem Boga przez to, co zwiemy „prawdziwymi wydarzeniami.

Chrześcijaństwo to zrealizowana w prawdziwym wydarzeniu, w naprawdę zaistniałym fakcie prawda zawarta w mitach. Bez mała dwa tygodnie później w liście do Artura Greevesa Lewis pisał :

Moja wiara w Boga przerodziła się właśnie w zdecydowaną wiarę w Chrystusa – w chrześcijaństwo. Spróbuję ci to wyjaśnić innym razem. W dużym stopniu stało się to za sprawą mojej długiej nocnej rozmowy z Dysonem i Tolkienem.

Mówię o tym, bo chciałbym bardzo mocno zaznaczyć, iż Tolkien był niewątpliwie świadkiem i jednym z czynników na drodze nawrócenia Lewisa, ale nie był ani zbawcą Lewisa ani jedyną czy nawet początkową przyczyną tego procesu nawrócenia. Jak sam Lewis zaznacza – jego nawrócenie w dużym stopniu dokonało się za sprawą rozmowy z Tolkienem i Dysonem, ale nie wyłącznie w ten sposób. Tak na marginesie – z Dysonem Lewis rozmawiał tego wieczoru dłużej, niż z Tolkienem. Tolkien wyszedł z Magdalen College (gdzie mieszkał Lewis) o trzeciej nad ranem. Lewis z Dysonem odprowadziwszy Tolkiena do wyjścia, jak pisze sam Lewis: „stwierdziliśmy, że mamy sobie jeszcze wiele do powiedzenia, więc przechadzaliśmy się w górę i w dół po krużgankach w New Building i dopiero o czwartej wróciliśmy do domu”.

Często zapominamy o tym, że nawrócenie Lewisa było nawróceniem początkowo bardzo intelektualnym, a takie nawrócenie musi być zazwyczaj dobrze przygotowane – przez lektury, rozmyślania, rozmowy. Rozmowa z Tolkienem i Dysonem stanowiła niewątpliwie ważny, ale nie jedyny element nawrócenia C.S. Lewisa.

Zarówno w powieściach Tolkiena, jak i Lewisa zawarta jest myśl chrześcijańska. Na czym polega różnica w jej przedstawieniu u tych autorów?

*Lewis szczytów geniuszu
dosięgał w eseistyce
filozoficznej i teologicznej,
Tolkien – w literaturze, fabule,
opowieści, literackiej
konstrukcji*

Odpowiedź na tak postawione pytanie jest naprawdę trudna. Myślę, że charakter obecności myśli chrześcijańskiej w fabułach Tolkiena i Lewisa nie jest

bardzo różny. Jeden i drugi nie chciał pisać alegorii – choć utwory Lewisa zdecydowanie bliższe są alegoryczności, niż utwory Tolkiena. Obaj pisali literaturę, którą lubili, a że obaj byli chrześcijanami – są w niej wątki chrześcijańskie. Niektórzy mówią, że u Lewisa wyraźniejsze, właśnie bardziej alegoryczne, jednoznacznie identyfikowalne. Chyba rzeczywiście tak jest, ale nie wynika to raczej z faktu, że Lewis chciał inaczej wprowadzać wątki chrześcijańskie do literatury, niż robił to Tolkien, ale z tego, że był po prostu słabszym pisarzem. Proszę mnie dobrze zrozumieć – Lewis był geniuszem krytyki literackiej, fantastycznym historykiem literatury, naprawdę przenikliwą głową

zarówno filozoficznie jak i teologicznie, kongenialnym eseistą na miarę najlepszej angielskiej tradycji reprezentowanej przez Hume'a czy Bacona. Ale pisarzem nie był na miarę Tolkiena. Tolkien stworzył skomplikowany, autonomiczny literacki świat. Narnia nie da się porównać ze Śródziemiem. Lewis szczytów geniuszu osiągał w eseistyce filozoficznej i teologicznej, Tolkien – w literaturze, fabule, opowieści, literackiej konstrukcji.

Czy rzeczywiście chrześcijański pisarz nie powinien – zgodnie z tolkienowskim przekonaniem – ewangelizować, pozostawiając ten trud duchowieństwu?

A czy od chrześcijańskiego kucharza oczekujemy, że będzie nas ewangelizował czy też, że przygotuje posiłek? Czy od chrześcijańskiego mechanika oczekujemy, że będzie nam głosił kerygmat czy solidnie naprawi samochód? Sposobem i pierwszym krokiem ewangelizowania przez chrześcijańskiego kucharza i chrześcijańskiego mechanika jest to, aby jeden był świetnym kucharzem, a drugi świetnym mechanikiem. A mówiąc zupełnie serio: literatura jako dziedzina sztuki, literatura przez wielkie „L” jest próbą przedstawienia i przybliżenia człowiekowi tego, co jest do końca niewyraźne i nieprzekładalne na język innego typu dyskursu. Pisarz tworzy dzieło literackie nie dlatego, że chce przepchnąć jakąś tezę, a jedynie ubiera ją w maskujące szaty fabuły literackiej i literackiego języka, aby była bardziej strawna. Tak powstaje nie literatura, ale propaganda albo katolicko-kiczowate czytadła w stylu „Księdza Grosera” czy „Księdza Rafała”. Prawdziwy pisarz tworzy dlatego, że chce czytelnikowi pokazać coś, czego inaczej czytelnik nie miałby szans „zobaczyć”, a co warte jest „zobaczenia”. Tak o literaturze

myślał Flaubert, Beckett ale i Tolkien. Literatura jest zawsze „natarciem na niewypowiadalne”, a nie strojeniem jak najbardziej dookreślonej tezy w kostium fabuły.

Jeśli przyjrzymy się osobistej duchowości Tolkiena i Lewisa, które elementy wiary chrześcijańskiej można by wskazać jako dla nich najważniejsze?

Myślę, że zarówno duchowo jak i charakterologicznie Tolkien i Lewis należeli do zupełnie różnych światów. Humphrey Carpenter, biograf Tolkiena i jednocześnie autor świetnej książki o tzw. „Inklingach” czyli grupie przyjaciół do których poza C.S. Lewisem i J.R.R. Tolkienem należeli również Ch. Williams i O. Barfield oraz kilku innych, mniej dziś już znanych autorów, bardzo trafnie określił różnice duchowe pomiędzy Lewisem i Tolkienem. Ujął to tak:

Tolkien był katolikiem o bardzo ortodoksyjnych zapatrywaniach. Uważał, że sakramenty są najważniejsze w życiu chrześcijanina i nie sądził, aby interpretacja chrześcijaństwa odgrywała znaczącą rolę. Podkreślał znaczenie regularnego uczestnictwa w Mszy Św. i przystępowania do komunii po uprzedniej spowiedzi, co – wraz z modlitwą – było dla niego sensem życia duchowego. Natomiast Lewis utrzymywał, że sakramenty są ważne, ale nie one stanowiły dla niego fundament wiary. Doszedł do chrześcijaństwa po długich zmaganiach wewnętrznych – dlatego tak wielki nacisk kładł w swoich książkach na intelektualne umotywowanie postawy religijnej.

Muszę przyznać, że po lekturze zarówno listów Tolkiena jak i jego twórczości literackiej odważyłbym się powiedzieć nawet coś więcej, niż mówi Carpenter. Moim zdaniem Tolkien był typem osobowości zdecydowanie artystycznej, nacechowanej „hiperwrażliwością”, czułością gdy idzie o ludzi, kimś kto bardziej odczuwa i widzi, niż spekulatywnie roztrząsa. Ale był też człowiekiem niezwyklej pokory, która to pokora wyrażała się chociażby w szacunku i przywiązaniu do filologicznego warsztatu, precyzyjnych i starannych elementów w twórczości literackiej. Stąd te wszystkie Tolkienowskie języki, ale również mapy i fantastyczne ilustracje, które sam przecież robił. Umiłowanie filologii było w przypadku Tolkiena pokornym umiłowaniem szczegółu i czułą wręcz troską o ten element literatury, jakim jest język.

C.S. Lewis był bardziej umysłem spekulatywnym, niż osobowością artystyczną

Do tego dochodzi typ pewności wiary, który właściwy jest ludziom od małego ogrzewanym promieniami łaski

wiary. Takim ludziom szkoda czasu aby debatować i dyskutować na temat zasadności argumentów za istnieniem Boga, problemu zła czy innych tego typu zagadnień. Oni po prostu żyją z Bogiem, jedyne na czym im zależy to najbliższy możliwy kontakt z Nim – stąd większe przywiązanie do sakramentów (zwłaszcza do sakramentu Eucharystii) i modlitwy (Tolkien regularnie modlił się na różańcu), niż do słów czy intelektualnych rozważań o wierze. Czytając listy Tolkiena – zwłaszcza te do synów: Johna i Christophera – nie sposób oprzeć się wrażeniu, nie boję się tego powiedzieć, iż Tolkien miał jakiś rodzaj mistycznego

wglądu w tajemnice wiary. Gdy pisze o Eucharystii albo o opiece anielskiej nie sposób nie zauważyć, że próbuje wysłowić coś, czego wysłowić się nie da, a co widział i czego doświadczał.

C.S. Lewis był osobowością krańcowo przeciwną – zarówno w wymiarze charakterologicznym jak i duchowym. Był bardziej umysłem spekulatywnym, niż osobowością artystyczną. Był doskonałym odbiorcą i krytykiem sztuki, ale nie twórcą. Nie miał w sobie jednak nic z owej naukowej pedanterii właściwej na przykład niemieckiej tradycji naukowej. Bardzo szybko łapał istotę rzeczy i zdecydowanie nie chciało mu się „dorabiać przypisów”. Myślał szybko i dogłębnie, chwycił w lot i bez problemu znajdował sposób, aby przekazać dalej to, co zrozumiał. Poza tym doszedł do wiary z niewiary i wiedział jak ważna jest apologetyka i apostołstwo intelektualne. Desmond Albrow, jeden ze studentów Tolkiena i Lewisa, określił pierwszego jako „profesora, który wyglądał jak profesor”, a drugiego jako „intelektualnego rzeźnika”. Myślę, że to dosyć przesadne, ale oddające coś określenie. Lewis był przede wszystkim filozofem, później „smakoszem” (ale nie twórcą) wielkiej literatury, następnie teologiem i apologetą – posługującym się zarówno formą eseistyczną jak i beletrystyczną. Miał niewątpliwie genialny umysł, który jednak bardziej posługiwał się spekulacją, niż wglądem. Dlatego też mógł tak sprawnie komunikować się z innymi i tak dobrze tłumaczyć wiarę.

Tolkien był głęboko wierzącym, praktykującym i pobożnym katolikiem, który pisał wspaniałą i naprawdę wielką literaturę. Lewis był skomplikowanym człowiekiem ze skomplikowaną drogą życia, anglikaninem, wspaniałym, przenikliwym teologiem i apologetą.

Tolkiena z Lewisem łączyła niezwykła, długoletnia, ponad 40-letnia przyjaźń. Czy zapoznawszy się z historią ich relacji można wydobyć z niej najważniejsze cechy męskiej przyjaźni, decydujące o jej trwałości i sile? Czy do takich cech należy wspólnota wiary?

Przyjaźń C.S. Lewisa i J.R.R. Tolkiena bardzo się – mówiąc eufemistycznie – rozluźniła na dekadę przed śmiercią Lewisa. Po śmierci Lewisa Tolkien tak pisał do swojej córki, Priscilli:

Dotąd odczuwałem to, co zwykle jest udziałem człowieka w moim wieku – czułem się jak stare drzewo, które traci po kolei wszystkie swoje liście; to natomiast [śmierć Lewisa – przypis mój J.P.] odczułem jako cios topora przecinający korzenie. To bardzo smutne, że w ostatnich latach zostaliśmy tak rozdzieleni; lecz w pamięci każdego z nas przetrwały czasy bliskiej zażyłości. Dałem na mszę, która została odprawiona dziś rano i do której służyłem.

Powody, dla którego nastąpił rozluźnienie przyjaźni opisywał Tolkien z kolei w liście do syna Michaela:

Wiele osób wciąż mnie uważa za jednego z jego bliskich. Niestety, przestało tak być jakieś dziesięć lat temu. Najpierw rozdzieliło nas nagłe pojawienie się Charlesa Williamsa, a potem małżeństwo Jacka. Nawet mi o nim nie powiedział;

dowiedziałem się o tym długo po jego zawarciu. Mieliśmy jednak względem siebie ogromny dług, a więź zrodzona z głębokiego uczucia nie została zerwana”.

Z kolei w liście do Ch. Brethertona Tolkien tak określa czas szczególnie intensywnej znajomości z Lewisem:

„C.S. Lewis był moim najbliższym przyjacielem od około 1927 do 1940 r. i pozostał mi bardzo drogi”.

Przywołuję historię rozluźnienia przyjaźni pomiędzy C.S. Lewisem i J.R.R. Tolkienem aby pokazać, że ich relacja nie była ani łatwa, ani stabilna, ani idealna i nie sądzę, aby nadawała się na wzór męskiej przyjaźni. Co do wspólnoty wiary – zapewne była dla ich przyjaźni szczególnie ważna, ale proszę pamiętać, iż dzieliły ich wyznania. Oczywiście, obaj byli ludźmi głęboko wierzącymi, ale Tolkien był angielskim katolikiem, a Lewis anglikaninem z Ulsteru. Dla nas, tu w Polsce niewiele to może znaczyć, ale proszę mi wierzyć – w Anglii i w Oxfordzie znaczyło to bardzo, ale to bardzo dużo. Przytoczę jeszcze jeden fragment z listu Tolkiena do syna Christophera. Tolkien tak pisał o postawie Lewisa:

Nie ma większego hołdu dla propagandy czerwonych niż fakt, że wierzy on (a wie, że we wszystkich innych sprawach są kłamcami i oszcercami) we wszystko, co się mówi przeciwko Franco, a nie przyjmuje do wiadomości niczego przemawiającego za nim. Nawet otwarte przemówienie Churchilla w parlamencie nie podważyło jego przekonań. W

sumie jednak jedynym ostatecznym fundamentem Kościoła anglikańskiego jest nienawiść do naszego Kościoła – zakorzeniona tak głęboko, że pozostaje nawet wtedy, gdy usunie się całą nadbudowę (C.S.L. na przykład czci Najświętszy Sakrament i podziwia zakonnice!). Jeśli jakiś luteranin ląduje w więzieniu, chwyta za broń, ale gdy morduje się katolickich księży – nie wierzy w to (i śmiem twierdzić, że tak naprawdę myśli, iż sami się o to prosili).

Przyjaźń Tolkiena i Lewisa nie była tak łatwa i wzorcowa jak nam się wydaje. Nie skończyła się też prostym *happy endem*. Nie wiem, czy można wyciągnąć z niej wnioski dla siebie czy wypreparować jakieś zasady tzw. męskiej przyjaźni. Nie sądzę. Wydaje mi się raczej, że powinniśmy być bardzo wdzięczni Panu Bogu, że niekiedy stawia na naszej drodze ludzi kompletnie od nas różnych, tak różnych, że nie potrafimy nawet zbudować z nimi relacji tak trwałej, jak byśmy sobie życzyli, ludzi, którzy niekiedy nas irytują, niekiedy zachwycają, ale wpływają na nas albo przynajmniej są ważnymi uczestnikami drogi naszego życia, a niekiedy i my wpływamy na nich i również w jakimś czasie stanowimy dla nich ważny punkt odniesienia. Warto za takich ludzi Panu Bogu dziękować, modlić się za nich – żywych czy umarłych.

Z o. Januszem Pydą OP rozmawiali Bartłomiej Kabat i Adrian Walczuk